

Anna Dymna: Miłość jest wszystkim

Moje wspomnienia o Wiesławie Dymnym są pozbawione łzawego sentymentalizmu. Mam 30-letniego syna, mój pierwszy mąż nie żyje od blisko 40 lat. Uporałam się z jego śmiercią - fragment wywiadu-rzeki z **Anną Dymną**

Fragment książki

Pamięta Pani swoją pierwszą miłość?

Ma Pan na myśli pierwsze zakochanie? Cóż... Chłopcy, którzy zakochiwali się we mnie, zawsze mieli ciężki los. Wychowywałam się wśród urwisów, łąziłam z nimi po drzewach, jeździłam na rowerze, kradłam nawet jabłka z pobliskich sadów. W moim wyobrażeniu chłopak to był kumpel, przyjaciel, partner do rozrabiania i poszukiwania przygód podczas zabaw. Żadne czułe, romantyczne wyznania nie robiły na mnie wielkiego wrażenia. Pamiętam nawet chłopaka, do którego przestałam się odzywać, gdy tylko wyznał, że jest we mnie zakochany. Miałam wtedy chyba szesnaście lat. W wieku ośmiu lat pojechałam na kolonie do Muszyny. Przebywał tam również student zajmujący się opieką medyczną. To chyba w nim zakochałam się po raz pierwszy. Pamiętam to dziwne uczucie. Była to najwspanialsza kolonia w moim życiu. Na następne wakacje znowu pojechałam do Muszyny, ale nie było już na nich tak przyjemnie jak poprzednio. Po prostu brakowało mi obecności tego szalenie miłego i serdecznego studenta. Bardzo za nim tęskniłam. A pierwszym moim - nazwijmy to tak - chłopakiem był Piotrek. Został mi niejako przypisany w naszej paczce przyjaciół, nazywanej - bez żadnego podtekstu politycznego - „Klubem Czerwonej Kokardki”. Z nim też po raz pierwszy się całowałam. Jako dwunastolatkę szalenie dziwił mnie fakt, że pocałunki wcale nie są przyjemne. Nabierałam w płuca po wietrze, zacisnęłam usta, przyciskałam do jego zacisniętych ust, no i po chwili dusiłam się. Nie mogłam pojąć, jak to możliwe, że w filmach pocałunki trwają aż tak długo.

Od lat powtarza Pani w wywiadach: „Miłością mojego życia jest Wiesław Dymny”. Pewna internautka w komentarzu do jednego z nich napisała: Czy pani Dymna musi ciągle opowiadać o Wiesławie Dymnym? Przecież robił tym przykrość swojemu obecnemu mężowi. Ciągłe wspomnianie Dymnego wygląda na robienie sobie dodatkowej reklamy.

To zupełna niedorzeczność. Po raz pierwszy o moim zmarłym mężu opowiedziałam publicznie dopiero dwanaście lat po jego śmierci, w telewizyjnym programie Pieczenie chleba. Przez bardzo długi czas temat tej miłości był dla mnie na tyle intymny i święty, że nie zamierzałam z nikim się nim dzielić. Zaczęłam to robić tylko dlatego, że kiedy Wiesiu umarł, wiele osób w podobnej sytuacji do mojej pytało, jak poradziłam so-

bie z jego odejściem; jak zdołałam je znieść, bo oni nie radzą sobie ze śmiercią kogoś bliskiego. Staralam się więc pokazać takim ludziom, że jeżeli ktoś ciągle żyje w naszych myślach, to znaczy, iż jest gdzieś blisko i czuwa nad nami. Przynajmniej ja tak to odbieram.

Jeśli dziennikarze zadają mi teraz pytanie o najważniejsze postacie w moim życiu, nie widzę powodu, by pomijać milczeniem Wiesia. Mówię o Dymnym w podobny sposób jak o własnych rodzicach, których także bardzo kochałam. Mój obecny mąż Krzysztof Orzechowski akceptuje ten fakt, rozumie go. Inaczej nie byłibyśmy przecież razem. Zresztą ani Krzysiu, ani mój drugi mąż nigdy nie czuli, że porównuję ich z Wieskiem i że żyją w jego cieniu. Raczej mogli korzystać ze zdobytego przeze mnie, dzięki Wieskowi, życiowego doświadczenia.

Pani miłość do Wiesława Dymnego trudno jednak zrozumieć zdroworozsądkowo.

Nie sądzę, by autentyczna miłość miała cokolwiek wspólnego z rozsądkiem, intelektem albo schematycznością emocji, którą mamy wdrukowaną w umysły. Nie mam zresztą pojęcia, jak tłumaczyć tę moją miłość do Wieska. Istnieją przecież doznania, których nie da się zamknąć w słowach. Miłość jest siłą, która się nigdy nie kończy, nigdy nie umiera. Dlatego Wiesiek, choć nie ma go już tyle lat, wciąż jest ze mną prawdziwie. Pomyślałam nawet kiedyś - i trochę się nawet przeraziłam - że w tej prawdziwości bycia ze mną nikt Dymnego mi już nie odbierze. Teraz, na zawsze, istnieje we mnie... Przez wiele lat śniłam koszmary, że Wiesiu nie umarł; że jest gdzieś, tylko nie chce do mnie wrócić. Takie sny były dla mnie największą katogą.

Pierwszy raz całowałam się z chłopakiem, gdy miałam 12 lat. Nabrałam w płuca powietrza i po chwili się dusiłam



▶ Anna Dymna: Nie wierzę w duchy, ale obecność Wiesia jest w moim życiu niemal namacalna

Napisano też w jakiejś gazecie, że Krzysztofowi Orzechowskiemu musi być potwornie smutno, skoro jego żona nieustannie deklaruje miłość do Wiesława Dymnego.

Takie stwierdzenia to jest skrajny nonsens. Sam Pan teraz widzi, że moje słowa odbierane są w skali jeden do jeden. Tymczasem kiedy się kocha, pewnych rzeczy nie da się nazwać.

Wspomniana internautka zarzuca też Pani, że dzięki nazwisku Wiesława Dymnego robi sobie Pani reklamę...

O co tak naprawdę Panu chodzi? Czy zdaje Pan sobie sprawę, że przepytując mnie w tonie pełnym podejrzeń, stawia mnie Pan w bardzo kłopotliwej sytuacji? Taka jest moja rola.

Przed pierwszym nagraniem tego wywiadu powiedziała Pani przecież, że mogę pytać o cokolwiek zechcę, poruszać najbardziej delikatne kwestie. „Wal pani” - usłyszałem od Anny Dymnej.

Fakt. Momentami jednak czuję się głupio, zmuszana do tłumaczenia się z własnego życia i motywów postępowania. Cóż mnie obchodzi, że ludzie myślą sobie to albo tamto, że mają jakieś wykoślawione wyobrażenia? Kiedy poznałam Dymnego, pod swoim panińskim nazwiskiem - Dziadyk - zrobiłam już kilka filmów. Nie byłam więc zupełnie anonimową aktorką, która potrzebuje reklamy. Jednak przed ślubem umówiliśmy się z Wieskiem, że bez względu na to, co się wydarzy, będziemy pracowali na jedno nazwisko. Robię to do dzisiaj. Nie ma znaczenia fakt, że Wiesiu już nie żyje. Moje wspomnienia o nim są pozbawione łzawego sentymentalizmu, eg-

zaltacji. Nie jestem wdową, która epatuje innych historią swojego minionego związku. Mam trzydziestoletniego syna, a mój pierwszy mąż nie żyje od blisko czterdziestu lat. To również dowodzi, że uporałam się z jego śmiercią.

Na czym polegała niezwykłość Wiesława Dymnego?

Wiesiu był absolwentem Akademii Sztuk Pięknych. Funkcjonował w czasach zapiekłej komuny. Czuł się jednak wolnym człowiekiem. Nikogo nie udawał. Dlatego był prześladowany przez ówczesny system polityczny. Zawsze potrafił bawić się sztuką. Pieniądze nie miały dla niego znaczenia. Kiedy miał ochotę, pisał piosenki i wiersze, kiedy indziej stawał się plastykiem albo aktorem. Bez względu na to, czym się zajmował, zawsze pozostawał autentyczny. Z pasją przeżywał swoje tu i teraz. Potrafił też cieszyć się drobiazgami. Był jak dziecko. Pisywał na przykład listy do naszej kotki Kaśki. Prosił ją o odciśnięcie łapki w odpowiedzi, zaznaczając, że nie może się już doczekać chwili, gdy znowu razem zapolują na ćmy. Aby razem z Kaśką osaczyć maleńkiego owada, potrafił zdemolować cały pokój. Wiem, że niektórym Wiesiek wydawał się szorstki. Pół żartem, pół serio mówiono o nim, że ma wdzięk człowieka, który mógłby zabić, a przy tym twarz jak pobojuwisko. Ale pod tą zewnętrzną szorstkością ukryta była dusza niesłychanie delikatnego, wrażliwego i bezbronnego dziecka.

Nie była to jednak miłość jak z bajki.

Kiedy się poznaliśmy, Dymny rozwodził się ze swoją pierwszą żoną, był ode mnie starszy o piętnaście lat. Kraków huczał

od plotek na jego temat. Związek pomiędzy nami zdawał się budzić sensację. Nie tylko w środowisku artystycznym. Anonimy na temat Wiesia, które przychodziły do moich rodziców, stawały włosy na głowie. Ale ani mama, ani tata nigdy nie mówili mi o tym wprost. Mieli do mnie zaufanie, chociaż zapewne czuli niepokój. Mamę interesowało wyłącznie to, czy Dymny mnie kocha i czy ja go kocham.

Kiedy staliśmy się małżeństwem, wiele nocy spędziłam na robieniu zdjęć albo czytaniu najwspanialszych dzieł literatury światowej. Wiesiu, podobnie jak potem mój syn, uwielbiał, gdy czytałam mu na głos. Zaczęliśmy od „Zoranego ugoru” Szolochowa. Potem przeczytaliśmy całą Biblię, następnie Dostojewskiego, Manna, Faulknera. Sami robiliśmy meble do naszego mieszkania na poddaszu. Mój mąż je projektował, konstruował, a ja wykańczałam. Nawet tyżkę czy talerz Wiesiu wolał wykonać sam, niż pójść do sklepu i je kupić. Pamiętam, że kiedyś powiedział, iż powinien mieć futro. Kupiliśmy więc najtańsze blamy samochodowe i to futro uszyliśmy. Cóż to była za frajda! Kochaliśmy się. Wszystko inne nie miało znaczenia. Wiesiek nie żyje od blisko czterdziestu lat. Ciągle mi jednak towarzyszy. Czuję to bardzo głęboko. Nie wierzę w duchy, mocno stąпам po ziemi, ale obecność Wiesia w moim życiu jest niezwykle konkretna, normalna, niemal namacalna. Siły uczę się również czerpać ze wspomnień. Już mnie nie boją.

Z czego, Pani zdaniem, wzięła się moc tego uczucia?

Poznałam Wiesia, gdy wchodziłam w dorosłe życie. Kobięca dojrzałość dopiero się we mnie budziła. Nasza znajomość trwała zaledwie siedem lat. Ale otworzyła przede mną niezwykle perspektywę widzenia świata. Nie wiem, jak to wszystko opowiedzieć; jak opisać krótko i zgrabnie niebo i piekło, taniec nad przepaścią, szaleństwo miłości, niepewności, radości, rozpacz. Wszystkie gładkie zdania na temat naszego małżeństwa są fałszywe. Czas nie goi żadnych ran. Może w pamięci zacierają się fakty, ale czas nie zacierza uczuć... Wcale... Wszystko czuję, jakby stało się wczoraj...

Pomimo choroby alkoholowej Wiesiek pokazał mi wartości na tyle silne i piękne, że zaważyły one na całym moim życiu. Nauczył mnie, że człowiek musi w coś wierzyć i sam o sobie decydować; że od jego decyzji wszystko zależy, a temu, co się kocha, należy oddawać się bez reszty. Myślę, że podobna miłość do naszej zdarza się tylko raz na milion związków kobiet z mężczyznami. Chyba dlatego zaważyła także na moim stosunku do pracy, sztuki, na relacjach z innymi ludźmi... Wiesiu był nadzwyczaj uczciwym człowiekiem. Nigdy nie usłyszałam od niego, że trzeba zrobić to i tamto, bo wtedy coś zyskam. To dzięki niemu „popłynęłam” w tym, a nie w innym kierunku i, jak sądzę, potrafię oddzielać plewy od ziarna.

Dymny był artystą. Czy miał również wpływ na kształtowanie się Pani wrażliwości estetycznej?

Wiesiek przedziwnie reagował na moje aktorstwo. Po premierze „Nocy listopadowej” ktoś mi powiedział, że widział Dymnego płaczącego. On po prostu się wzruszał, widząc mnie na scenie. Dawał mi zresztą masę fachowych rad. Korzystałam z nich do dzisiaj. Mówił na przykład, że jeśli mam grać scenę, w której muszę się uśmiechać i ten uśmiech ma coś znaczyć, to wcześniej nie powinnam się uśmiechać, bo wtedy ten ważny uśmiech zginie w poprzędnicach; i jeśli taką ważną scenę z uśmiechem gram w połowie filmu, to wcześniej cały czas powin-

nam być poważna. Wiesiek pokazał mi świat, którym nasiąknęłam jak bibułka. Zostałam w tym świecie do dzisiaj. Dymny angażował się również jako aktor, zawsze w drugo- bądź trzecioplanowych epizodach. Wystąpił we Wszystko na sprzedaż, w Soli ziemi czarnej i kilku innych filmach. Andrzej Wajda określił go jako „największego z naturzszczyków”.

Pani pierwszy mąż był również jedną najbardziej wspaniałych postacią Płwnicy pod Baranami. Jej filmem. Współpracował z nią przez blisko dwadzieścia lat. Uczestniczył też w projektach Tadeusza Kantora. Mówiono, że – poprzez blażerstwo – pomistrzowski wyrażał tragizm otaczającej go rzeczywistości. Jednak budził także kontrowersje, znany był z porywczego charakteru. Piotr Skrzynecki wspominał na przykład, że nie lubił Pani męża ani za życia, ani po śmierci; że się go bał, bo raz dostał nawet od niego w głowę. Bywało, że podczas przedstawienia Dymny wychodził na scenę pijany i nie chciał niej zejść. Może nieco idealizuje Pani jego osobę?

Może. Mówię jednak o tym, jaki Wiesiek był dla mnie. Nawet kiedy się upił, nigdy nie występował przeciwko mnie. Życie z nim było fascynujące. Godziną trzeźwości potrafił wynagrodzić mi tydzień swojego pijaństwa. Zresztą bez względu na to, w jakim był stanie, zawsze odprowadzał mnie do teatru. Jeśli miał siłę, czekał na mnie aż do zakończenia spektaklu. W oczach wielu osób byliśmy zdumiewającą parą: ja wyglądałam jak promień słońca, a przy mnie albo za mną szedł wściekły facet, który tylko czekał, żeby dać w łeb komuś, kto będzie usiłował mnie zaczepić. Wiedziałam, że niektórzy niby bardzo mi współczują. Mówili: „Ta biedna Ania żyje z potworem”. Ale z drugiej strony – strasznie zazdrościli mi męża, który otaczał mnie niespotykaną wręcz miłością.

Na jakiej podstawie uważa Pani, że łączyła Was prawdziwa miłość?

Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Jeśli kocha się drugiego człowieka, to nie dlatego, że zaspokaja on nasze oczekiwania i potrzeby. Po prostu jest się przy nim. Bez względu na wszystko. Bez względu na to, co robi. Miłość nie polega na tym, że dostaje się czekoladę albo sukienkę. Owszem, to są miłe gesty, jednak o niczym nie świadczą. Jeżeli kogoś kochamy, to chcemy być z tym człowiekiem, wszystkim się z nim dzielić: i radościami, i największymi smutkami; razem z nim cierpieć, przebaczać mu. Na początku przy Dymnym nie było mi łatwo. Ale potem zrozumiałam, że choćby nie wiem co, zawsze będę z nim. I nie potrafię wyjaśnić, dlaczego tak poczułam.

W jak sposób radziła sobie Pani z chorobą alkoholową małżonka?

Nie wiem, czy to była choroba alkoholowa. Mało wtedy wiedziałam na ten temat. Zresztą Wiesiu czasem nie pił całymi miesiącami. Chwilami jednak przechodził na piekło. Polegało ono nie na tym, że Wiesiek obracał w koszmara moje życie. Po prostu nigdy nie byłam pewna, czy kiedy wrócę do mieszkania, nie zastanę męża pobitego albo czy nie przepadnie gdzieś na kilka dni. Czasami przepadał. Potem okazywało się, że wpadł pod samochód albo go pobito i znajduje się w szpitalu. Nieraz zastawałam mieszkanie kompletnie zdemolowane. Różnie na to reagowałam. Nie było łatwo. Najdziwniejsze było to, że kiedy Wiesiek przedstawiał pić, natychmiast wybaczałam mu wszystko. Im dłużej z nim byłam, tym bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że tego niezwykle człowieka nigdy nie opuszczę. Złączył nas nie przypadek czy ślepa fascynacja, lecz chyba najprawdziwsza miłość. Wiedziałam to od początku. Mój



Anna Dymna, Wojciech Szczawiński
„Warto mimo wszystko”, wydawnictwo Znak, Kraków 2017

mąż pozwolił mi uwierzyć, że miłość jest prawdą, a nie jedynie wyobrażeniem i kłidywnym uczuciem. Dlatego twierdzą, że nasze uczucie wciąż trwa.

A z czego, Pani zdaniem, brało się picie Wiesława Dymnego?

Wieska potwornie bolał świat. Właściwie wszystko, co robił, było niszczone przez komunę. Żyliśmy przecież w czasach absurdu. Mąż z niego kpił; ale strasznie cierpiał wewnętrznie. Jego sytuacja artystyczna nie była dobra. Film Słońce wschodzi raz na dzień długo leżał na półkach, bo do rozpowszechniania go w kinach nie dopuściła cenzura. Potem, pocięty, wyświetlany był w klubach dyskusyjnych. Podobnie „Pięć i pół bladego Józka”; film, do którego Dymny napisał scenariusz, został zatrzymany przez cenzurę jeszcze przed udźwiękowieniem. Młodzi ludzie dyskutowali w tym filmie o wolności, uczciwości, życiu, śmierci... Poruszanie w kinie tego typu tematów było dla ówczesnych władz czymś niedopuszczalnym. Dramat, a jednocześnie wielkość i niezwykłość Wieska polegały na tym, że nie był w stanie pójść na żadne układy, kompromisy, o których wiedział, że są nonsensem. Dymny uwielbiał też przetwarzać rzeczywistość. Znosił do domu stare buty znalezione na śmietnikach, korki, kawałki rusztowań... Planował wykorzystać je w robionych przez siebie scenografiach. Jeśli był trzeźwy, nigdy nie siedział bezczynnie. Rysował, rzeźbił, pisał tysiące tekstów. Wszystko paliło mu się w rękach. Realizował każdy swój pomysł. Często zdarzało się jednak, że słyszał: „No tak, ładnie to pan zrobił, ale my potrzebujemy teraz tekstów o Hucie Katowice albo o Porcie Północnym”. Wiesiek przypominał ptaka, któremu codziennie wyrastają skrzydła i któremu codziennie te skrzydła się przycina. Z tego zapewne brało się jego picie. Z bezsilności wobec życia. Chyba też bym piła na jego miejscu. Kiedy Barbara Natkaniec zwróciła się do męża z prośbą o wywiad, odpisał jej: Mój życiorys artystyczny niewart jest wspominać. Nic nie znaczy w świecie oszalałymi



Anna Dymna wzięła ślub z Wiesławem Dymnym, gdy była jeszcze na studiach. Byli małżeństwem siedem lat, mieli syna

cej techniki. Gdybym był konstruktorem niezwykle kieliszków do boskich napojów, wtedy organizacje młodzieżowe śpiewałyby hymny na moją cześć...

Istnieją kobiety niesłychanie oddane małżonkom, którzy cierpią na chorobę alkoholową: z pokorą znoszą każdą katorgę, bezsilności i upodlenie. Zdumiewające jest tylko to, że kiedy ich mężowie triumfalnie wychodzą z wieloletniego nałogu, te związki natychmiast się rozpadają.

Zastanawiam się, czy alkoholizm Dymnego – paradoksalnie – nie tworzył silnego spoiwa Pani pierwszego małżeństwa.

Cóż to za absurdalna sugestia! Nie zamierzam jej roztrząsać.

Uwielkuje jedynie dociec, czy w Annie Dymnej nie ma mocno ugruntowanej skłonności do oplekowania się bliźni, wbrew wszystkiemu i mimo wszystko. Inna rzecz, że w swoim telewizyjnym programie nieraz gościła Pani osoby uzależnione, których związki rozpadły się, kiedy wyszły z nałogu.

Wiesiu umarł nagle. Nie było żadnego finału naszego małżeństwa, żadnej puenty. To po pierwsze. Po drugie, tak naprawdę alkohol w tym związku nie miał żadnego znaczenia. Gdyby Wiesiek był inny, a w dodatku jeszcze pił, pewnie szybko bym go rzuciła. On był jednak fascynującym człowiekiem. A to, czy miał zęza, garb, kulał albo seplenił? Przecież jeśli się kogoś mocno kocha, takie rzeczy są bez znaczenia. Zatem próby dociekania, czy alkohol był spoiwem naszego małżeństwa, odbieram jako usiłowanie spłykania wartości tego związku. Nie mam nic do powiedzenia na ten temat.

Oczywiście zjawisko jest mi znane, nie tylko dzięki gościom programu „Spotkajmy się”, którzy wyszli z choroby alkoholowej. Na temat uzależnień czytałam bardzo dużo również w trakcie przygotowań do roli w filmie Tylko strach. Bywa więc, że alkoholik przestaje pić także dzięki małżonce, która przy nim trwa i poświęca mu życie. A ponieważ wyrwa się ze szponów nałogu, to oczekuje nagrody. Tymczasem żona mówi: „Przepraszam, nie mam już siły zajmować się tobą”. I odchodzi, bo nie jest w stanie znieść dalszego wysiłku. Jednak w moim pierwszym małżeństwie taka sytuacja nie miała miejsca. Kto wie? Może byłam wtedy za młoda i nie posiadałam odpowiedniej wiedzy, żeby Wiesiuowi pomóc...

A może nie dalioby się mu pomóc, tak jak Grzegorzewskiemu, który ostatecznie udekl od samego siebie w alkohol i zupełnie odrealnienie?

Nie wiem... Wiesiek pił nie dlatego, że musiał, lecz dlatego, że potwornie bolała go rzeczywistość. Kochałam go. Tylko to się liczyło i liczy. W tamtym czasie bardzo dużo pracowałam, niczego nie wyrzekałam się dla Wieska. Wręcz przeciwnie. Również on pracował na mnie.

Kazimierz Kutzwspomina Wiesława Dymnego jako człowieka nieprawdopodobnie zazdroznego o swoje kobiety. Był żoną takiego mężczyzny zapewne ograniczona, zniewała.

Nie odczuwałam tej zazdrości. Właściwie cały czas byliśmy z Wiesiem razem. Nie czułam też, że jestem przez niego ograniczana, kontrolowana albo szpiegowana. Nigdy nie zadawał mi pytań w stylu: „Z kim byłaś?”, albo: „Z kim rozmawiałaś?”. Wiedział, że jestem początkującą aktorką i wokół mnie kręca się tysiące mężczyzn. Ufaliśmy sobie. Na temat zazdrości mojego pierwszego męża nie mam więc nic do powiedzenia. Oczywiście, gdyby ktoś chciał wyrządzić mi krzywdę albo nauczyć mnie czegoś złego, Wiesiu by go zabił. Jestem o tym przekonana. ●